

Doberdob

(Excerpt in Polish)

Translated by: Marlena Gruda
Contact of the translator: marlena.gruda@gmail.com

III

Jak na złość już następnego wieczoru wydano rozkaz: „Naprzód!”

Wróg, który przez całe 24 godziny bombardował austriacką pierwszą linię najostrzejszym ogniem armatnim, znanym wcześniej jedynie na Froncie nad Soczą, wysłał piechotę do ataku myśląc, że w pierwszych liniach nawet mysz nie ujdzie z życiem. W momencie, gdy piechota wkroczyła do akcji, ogień armatni zasłonił całe tyły pierwszej linii, uniemożliwiając nadejście rezerw. Również schron, w którym była komora, ostrzeliwany był już kilka godzin. Na szczęście wróg w tej sekcji strzelał o szerokość schronu za daleko. Padały baterie ciężkich ekrazytowych granatów. Batalion oglądał to bombardowanie kilka godzin. Myśli żołnierzy były skupione na jednym: Co będzie, jeśli zaczną obierać krótszy cel?

I rzeczywiście, pod wieczór baterie wroga zaczęły oddalać się od pierwotnego celu. Szeroki ognisty lej zbliżał się do schronu, powoli, strzał za strzałem, że ledwo można było odróżnić pociski. Odskakując od kamieni i odłamków żelaza, z minuty na minutę spadały coraz bliżej.

Held drugi raz obrócił się do swojego sąsiada leżącego na słomie.

- Ej, Pekol, co o tym myślisz?

Mówiąc to, skierował się właśnie do tego po prawej. Pekol nie był bojaźliwy i nie znał strachu. Tylko teraz ponad dwie godziny siedział i nic nie mówił. Opierając się o mokrą skałę, patrzył przed siebie, jakby stracił zmysły. Jego mózg nie był w stanie pojąć tego, co działo się na jego oczach. Wiedział jedynie, że nie są w stanie stawić oporu sile, która syczy i uderza tam przed nimi. Może jedynym ratunkiem byłoby zakopanie się pod ziemią, gdziekolwiek. Przez cały czas nad dachem głośno wyło. Każde echo było tylko krótkim, unoszącym się piskiem, całą masą pisków, które zlewały się w jeden długi zwiastujący śmierć gwizd.

Pekol nie odpowiedział także na drugie pytanie. Zamiast niego wzdrygnął się sąsiad po lewej stronie Helda, Cygan Maroš.

- Nic dodać nic ująć...

Powiedział to takim głosem, że Held już o nic nie pytał, to była odpowiedź, którą sam już cały wieczór czuł.

Na dach znowu spadła ciężka ulewa kamieni, najcięższa tego wieczoru. Przyszła z boku, bo tam ziemia niebezpiecznie się potrzęsała. Nadchodzący dźwięk uderzył w mokry koc, który wisiał na dachu, jakby coś ciężkiego, nieforemnego zaplątało się w gruby materiał. Potem głośno spadło na kamienistą ziemię. Rainer, który czuwał za ścianą instynktownie sięgnął pod koc i wyciągnął zmiażdżony kawałek żelaza.

- Co tam masz? – zapytał automatycznie Amun.

Rainer bez słowa wcisnął mu odłamek do ręki. Potem podawali go sobie z rąk do rąk. Żołnierze dziwnie się czuli, gdy wazyli go w rękach. A gdy Petrika podał odłamek Popovičovi, ten odsłonił zasłonę i puścił odłamek po schronie, że zadzwoniło. Wszyscy mu po cichu przyklaskiwali, mieli poczucie, jakby ktoś wyrzucił im węża z łóżka.

Następnie głos Rodeta uratował ich przed czekaniem na śmierć. Wymarsz. Jeden za drugim wstawali z łóżek. Z komory schronowej ciągnął się łańcuch mrocznych, pochylonych ciał żołnierzy, zmierzających na wyżynę. Oczy ujrzały niski, skoszony i przeorany przez granaty świat. Pomimo bombardowania wydano rozkaz, że mają przejść przez wyżynę. Żywi lub martwi, tego nikt nie powiedział, ale rozumiało się samo przez się.

Łańcuch zsuwał się po wyżynie po zrujnowanych kamienistych płotach, zahaczając o schrony. Mieli strzec siebie nawzajem – rozkaz ten był w tym momencie zbędny, bo każdy wiedział, że utrata łączności z towarzyszem, który idzie przed nim oznacza śmierć. Dokąd miały iść człowiek sam? Mimo że wszyscy wiedzieli, że droga, którą ich prowadzą, jest drogą na śmierć, to każdy bał się samotnej śmierci na tej podziurawionej ogniem kamienistej polanie.

Łańcuch wił się po wyżynie, na której wybuchały granaty i gdzie nieprzerwanie spadały odłamki rozpryskujących się szrapneli. Najtrudniej było przejść obok ruin opuszczonej osady. Niełatwo się było domyślić, jak wyglądała wcześniej, bowiem stało tylko kilka pojedynczych murów. Tę osadę artyleria zbombardowała szczególnie dokładnie. Dlatego próbowali ją obejść. Długo leżeli za niskim murem biegnącym kiedyś wzdłuż ulicy. Tutaj przebiegali przez ulicę w większych odstępach. Gdy niebezpieczne przejście było już za nimi, odetchnęli z ulgą. Tam chyba było spokojniej. Potem skręcili w prawo na jakiś stok. I wówczas otworzył się przed nimi obraz pierwszej linii. Ognie min, rakiet i reflektorów krzeszały się i rozświetlały noc. Wówczas nie było jeszcze mgły, dlatego przedzieranie się nie należało do najprzyjemniejszych. Jednak trzeba było iść dalej, bo tam z przodu w niektórych miejscach linia zaczęła się łamać.

- Padnij! Ogień!

Wybrzmiało z przodu ostrzeżenie i biegło wzdłuż łańcucha tam i z powrotem. Tak. Uszy, ale nie tylko uszy, wszystkie żyły skupiały się na cienkim gwizdaniu nisko nad głowami. To są już muchy... Pierwsza linia jest już niedaleko. Nie słyhać strzelania, tylko muchy kłapią wszędzie dookoła. Coś rechocze nieprzerwanie i zjadliwie. To są osy, zestawy rakietowe, które słyhać, gdy na chwilę ucichną żaby. Wydawało im się, że przebijają się

przez wyżynę całą wieczność i że przeszli już dziesiątki kilometrów. W rzeczywistości pokonali niewielki odcinek.

Dowództwo znowu wysłało wieść:

- Jeszcze trochę i jesteśmy w rowie. Potem będzie lepiej...

Lepiej? Wydaje się, że serca jednak wierzą.

Po chwili znowu:

- Zajmujemy sektor numer 5.

Tam może wróg wykopał otwór. Nie wiadomo kto, czy Almer czy Segal, też wiedział, że byli tam Rumuni, którzy wszystko zepsuli. Ale ta wiadomość teraz nikogo nie interesowała. Teraz to sektor nr 5 zajmował myśli. Dopóki nikt nie wiedział o tym sektorze, nikogo nie obchodziło, dokąd tak naprawdę idą. A teraz ten tajemniczy sektor zaczął targać myśli. Jeszcze kilka razy trzeba było się przyczaić, potem droga pod łańcuchem się zapadła, nogi stapały po miękkim, śliskim błocie, z którego wystawały skaliste głowy.

- Do rowu!

Ci z przodu przystanęli, aby łańcuch się złączył. Mimo że rów był niski i wąski a przeprawa nim była gorsza niż w terenie otwartym, to jednak nowa świadomość napełniła wszystkich optymizmem. Rów jest rowem, także dla tego, kto idzie nim pierwszy raz w życiu. Minęli centrum bombardowania i z każdym krokiem zbliżali się do pierwszej linii frontu. Było już słyszeć strzelanie dochodzące z samej ziemi. Natrętnie uderzało w ścianę rowu: z-z-k s-k. Plecy coraz bardziej się pochylały.

Pęki palących się świateł przed nimi stawały się coraz wyraźniejsze...

Z dołu nieprzerwanie wołano:

- Cicho, cicho, co robicie tam z tyłu?

Co kto miałby robić w takiej sytuacji? Łańcuch kilka razy przetoczył się przez jakieś boczne rowy, które były jeszcze gorsze; szło się w dół i w górę. Dwa albo trzy razy musieli się czołgać, kiedy między kamiennymi kretowiskami eksplodowała mina, obryzgując niektórych błotem. Potem wystrzeliło tuż przed nimi. Kilka kroków dalej frajter Kopajnik, który pojawił się nagle przy niskim nasypie dołu, chwycił Štefaniča za ramię, przycisnął do mokrej ściany dołu i powiedział:

- Tutaj jesteś!

- Co? – wykrztusił zdziwiony Štefanič.

Ale nie zdążył zamknąć ust, kiedy Kopajnik już zniknął w kretowisku. Trochę dalej, po lewej znowu usłyszał jego głos:

- Barfuss, tutaj jesteś!

Štefanič stał nieruchomo przy ścianie a łańcuch nieprzerwanie brzęczał, nikt nie zwracał na niego uwagi. Mijali go Amun, Palir, Holcman, na ile mógł ich odróżnić w ciemności. Potem jego uwagę odwrócił wyłaniający się z wąskiej ściany dołu mały cień żołnierza.

- Tutaj jest bezpiecznie! – wyszeptał cień. Zanim rozpoznał, z kim rozmawia, cień odwrócił się i zniknął w labiryncie rowów kretowiska. Jakieś przecucie zaprowadziło go do przesieki, którą właśnie opuścił cień, wyczuł po omacku coś miękkiego, gdzie usiadł, aby ochronić głowę za zbyt niskim nasypem. Siedzisko było wygodne i miękkie, jeszcze ciepłe po poprzedniku. Zanim udało mu się zbadać dłońmi przestrzeń wokół siebie i znaleźć wrąb, gdzie mógłby położyć karabin, ostatni żołnierze przemaszerowali obok niego.

Był sam. Poczł dziwny ucisk w klatce piersiowej. Przystanął na chwilę, w razie gdyby jeszcze ktoś szedł rowem, po czym skupił się na ogarniającym go przygnębieniu. Ale to nie trwało długo. Stan ten przerwała świadomość, że znajduje się na froncie, w pierwszej linii ognia. Po prawej i lewej brzęczały karabiny. To są jego towarzysze. W tym momencie i on pochylił się nad karabinem i wystrzelił pierwszy nabój. Ten wzleciał wysoko gdzieś w błękitnawe niebo, jakby wysyłał im swoje pierwsze powitanie...